

## Promienie znikają wraz ze słońcem...

Kiedy ojciec z synem szli nabrzeżem, wyprzedziło ich dwoje chłopców. Płowowłosa i smagły, biegli nie zwracając na nikogo uwagi i dlatego od czasu do czasu na kogoś wpadali. Chłopiec z białymi włosami, jak mieczem wymachiwał pałką. Jego czarnowłosa przyjaciel głośno krzyczał, płosząc przechodniów.

- Szybciej!.. Nie zdążymy!.. On zniszczy słońce!.. I zmusi nas do życia w nieprzeniknionej ciemności!.. Szybciej!.. Musimy zdążyć!..

Ale to ani trochę nie przstraszyło ojca, ani, tym bardziej, syna. Tylko odprowadzili wzrokiem oddalających się bohaterów, śpieszących na pomoc słońcu.

„Tata, zdążą, prawda?” - zapytał syn.

- Oczywiście - odpowiedział ojciec. - Nie mogą się spóźnić.

„A jeśli on jednak zniszczy słońce?”

- Synku, dlaczego ma je zniszczyć? Nie - pokręcił głową. - On nigdy tego nie zrobi - oni uratują słońce.

„Ale... ale gdyby ze słońcem miało się stać coś złego? Jego nie zniszczą, ponieważ dwaj bohaterowie pomogą mu. Ale co, jeśli... jeśli ono po prostu postanowi samo zgasnąć? Może się tak zdarzyć? Przecież bywa tak, że kogoś ratują ze śmiertelnego niebezpieczeństwa, ale on sam znajduje śmierć, zgaśnie, jak słońce? Nagle. Nieodwołalnie”.

Syn zatrzymał się i popatrzył na ojca.

Ojciec spuścił wzrok.

- Nie, takie coś więcej się nie zdarzy - powiedział. - Obiecuję.

Syn ścisnął rękę ojca.

„Wierzę ci, tatko. Ale przecież może być, że...” - pstryknął palcami i ognisty dysk zgasł, przekształcając się w czarną plamę, jakby słońce nigdy nie świeciło nad tą błękitną i zieloną planetą.

Ojciec jeszcze mocniej ścisnął rękę syna.

- Oczywiście, może być - odpowiedział. - Ale może być i... - teraz on pstryknął palcami.

Pomarańczowy dysk, oblizywany gigantycznymi, gorącymi językami płomienia, znów zajął swoje miejsce na sklepieniu niebieskim. Słońce zapłonęło i paliło się, jakby nigdzie nie zniknęło.

„Tata, a czy tak bywa?”

Ojciec odpowiedział i w jego głosie zabrzmiała pewność:

- Bywa.

I kiedy drugi raz pstryknął palcami, obok pierwszego słońca zapaliło się jeszcze jedno. Było mniejsze, ale tak samo jaskrawe. A może, jeszcze bardziej.

Zatrzymali się przy budce z lodami.

- Weźmiemy truskawkowe? - zapytał ojciec. - Zawsze jesz truskawkowe.

„Truskawkowe jadłem kiedyś - odpowiedział syn. - Teraz chcę czekoladowe”.

- Ale one są takie ciemne...

„Tata, one też są smaczne. Prawda”.

- No, tak... zgoda, synku.

Kiedy przyszła ich kolej, ojciec powiedział:

- Dla mnie i dla syna, proszę czekoladowe.

- Dla syna? - zapytała sprzedawczyni, ale bez jakiegokolwiek zainteresowania.

- Przecież jestem ze synem - powiedział ojciec. - Oto on, mój syn.

- Jasne - poszperała przy tylnej ścianie straganu i wyjęła dwa kubeczki. - Dwa razy po pięćdziesiąt - powiedziała, podając lody ojcu.

Ojciec rozliczył się. Potem podał synowi jego kubek.

- Smacznego życzę synowi - powiedziała sprzedawczyni.

- On ma zawsze dobry apetyt - pochwalił się ojciec.

„Chodźmy, tato”.

- Jeśli dobry, to bardzo dobrze - sprzedawczynie wytarła spoczone czoło.

Ojciec z synem szli powoli, trzymając się za ręce i jedli lody.

„Tata, te lody, są ciemne, jak... Są do czegoś podobne”.

- Do czego?

„Nie wiem, tato”.

- To nic, synku. Przypomnisz sobie.

Sprzedawczynie patrzyła na nich w jakiś dziwny sposób. Na sekundę, zdawało się, nawet o czymś pomyślała. Ale nowy klient powiedział, że chce watę cukrową i musiała wrócić do pracy.

... „Jednak, czekoladowe są za ciemne dla ciebie, tato. Sam mówiłeś, że są ciemne”.

- To nic. Ty przecież jesz? I ja zjem. Nic w tym strasznego, że są ciemne.

„Lepiej byś kupił sobie truskawkowe. Kiedyś ja też je lubiłem”.

- Nie przejmuj się, synku. To głupstwo.

„One nie są takie ciemne. Czekoladowe, jednak za ciemne dla ciebie, tato”.

- Nie przejmuj się, synku...

Tak rozmawiali po drodze do samochodu.

Samochód stał przy potężnym, rozłożystym drzewie. Granatowy i solidny.

Ojciec otworzył drzwiczki i syn usiadł na przednim siedzeniu, obok kierowcy. Ojciec usiadł za kierownicą. Zapiął pasy i pomógł zapiąć synowi. Uruchomił silnik i kiedy ten zamruczał, ruszyli z miejsca.

„Czekoladowe są smaczne, teraz to rozumiem - powiedział syn. Prawie skończył jeść swoje lody. – Ale, gdybyś kupił sobie truskawkowe, byłoby lepiej. Prawda, tato”.

Tym razem ojciec przemilczał, tylko nacisnął na gaz i samochód potoczył się szybciej.

Zatrzymał ich człowiek w mundurze. Poprosił ojca o dokumenty, potem spojrzał na numer rejestracyjny i na reflektory.

- Dokąd pan jedzie tą drogą? I do tego zupełnie sam - zapytał.

- A co, nie wolno po niej jeździć? – zjeżył się ojciec. – Wobec tego zawrócę i...

Mundurowy pokręcił głową.

- Nie-nie. Proszę jechać, jeśli pan musi. Ale czy na pewno wie pan, dokąd ona prowadzi. Ta droga prowadzi tylko tam, a w to miejsce, nikt nie jeździ sam...

- Ale, ja przecież nie jestem sam.

- A z kim?

- To oczywiście! Jestem ze synem - roześmiał się.

Człowiek w mundurze zajrzał do środka.

- Jestem z synem - powtórzył ojciec, nie przestając się uśmiechać.

Mundurowy popatrzył na jego szeroki uśmiech i nagle zamilkł.

„Tato, lody są podobne do kamienia”.

Ojciec odwrócił się do syna.

- Do jakiego kamienia?

„Nagrobego. Tak samo czarne, jak on”.

- Jesteś pewien?

„Tak, tato”.

- W porządku – odezwał się mundurowy dziwnym głosem. - Jeśli jesteś z synem, to inna sprawa – zsalutował i wrócił do budki, przy której stał całymi dniami.

„Nie potrzebnie się niepokoił, tato. Jedziemy przecież ostrożnie”.

Ojciec zawrócił samochód.

Wyjechali na drogę. Opony szumiały na asfalcie i auto nabierało prędkości.

Jechali w potoku innych samochodów. Jedne były mniejsze, inne większe. Ktoś jechał szybciej, a ktoś wolniej. Ale ani jeden z samochodów nie był podobny do ich granatowego cacka. A i pasażerowie nie wyglądali jak oni.

„A te wysokie, tato... Zielone...”

- Które, synku?  
„No, te, wzdłuż drogi... Takie... Samochód jeszcze stał... Przyszliśmy, a ono stało obok, takie same, jak te...”  
- Wysokie?  
„Tak, bardzo wysokie”.  
- I zielone?  
„Zielono-brązowe”.  
- Masz na myśli drzewa?  
„Drzewa? Możliwe. Nie pamiętam”.  
- Przypomnisz sobie - cicho powiedział ojciec.  
Syn nie usłyszał go.  
„Drzewa... To, prawdopodobnie, one”.  
- Nie martw się, synku, niedługo dojedziemy.  
Ojciec przyśpieszył.  
„Nie martwię się, tato”.  
- Nie martw się, synku, już niedługo - powtórzył ojciec, nie dosłyszawszy słów syna.  
Drzwi nie były zamknięte, przecież tu zawsze na kogoś czekali.  
I kiedy ojciec z synem podjechali pod dom, drzwi też były życzliwie otwarte na oścież.  
Z domu wychodzili ludzie: pracowali tu. Byli bliscy synowi, a tym bardziej, jego ojcu.  
Kiedy wyszli z samochodu, ludzie okrążyli ich. Objęli, serdeczne przywitali, zabawiali dowcipami, wzruszyli wiadomościami o sobie i swoich bliskich. I zaprowadzili do domu.  
Ojciec przytulił syna... ale nie poczuł go. Dookoła gromadziło się mnóstwo ludzi, ale syna wśród nich nie było.  
Wyrwał się z przyjacielskich objęć i rzucił się do wyjścia. Biegł i wołał syna, ale ten się nie odzywał.  
Dogonili go. Czuł na plecach ich ręce, ale w nich już nie było dobroci i czułości. Wbrew woli, zaprowadzono go do domu.  
Wyrwał się, ale chwyt ludzi był mocniejszy. Nie przestawał wołać swojego syna, ale odpowiadała mu cisza. Syn nie chciał się odezwać albo ojciec go nie słyszał, albo...  
„Albo”.  
Oczy ojca zamglily się łzami. Krzyk stał się ochrypły.  
Palce ludzi tak mocno ścisnęły ramiona, że poczuł ból. Ale ból natychmiast znikł, a inne, mocne uczucie zostało. Przepchnięto go na drugą stronę drzwi. Tupiący, niezliczony tłum zasłonił sobą wejście i ostatnie promienie zachodzącego słońca.  
Wielkie, przyjazne dotąd drzwi, z dźwiękiem wywracającym wnętrznosci, z głośnym, drwiącym zgrzytem, powoli się zamknęły.  
Rozległ się stuk. Stukali do drzwi, od wewnątrz, ale było już za późno - ich już zamknęli. Ich należało zamknąć.  
Granatowy samochód, taki zwyczajny i solidny, zniknął i wydawało się, że nigdy go nie było.  
Gęstniejąca ciemność okryła dom.  
W samotnym, brudnym okienku zapaliło się światło.  
Mignęła poła białego fartucha...

*Przekład: Tadeusz Rubnikowicz*